Nr. 6. Kraków, czerwiec 1911. Rok V.

ŚW. WOJCIECH
W OBRONIE PRAWDY

Redakcya i Administracya:
Kraków, ul. Św. Tomasza L. 35.



Cena numeru pojedynczego
4 halerze 2 (centy).

WYBORY.

„Wybory! Wybory!“ — Wszędzie dziś słyszysz to hasło.

Dziwni są ludzie.

Jedni żyją tylko tą myślą: „wybory“. O tem tylko prawią Oto się wiecznie spierają. O „wybory“ nożami się dźgają (we Wieliczce n. p.) „Wybory“ to dla nich kres zabiegów życia. Przez „wybory“ wedle nich wszystko się odmieni. „Będzie raj na ziemi“ — niech jeno wybory przejdą.

Inni znów — obojętni.

„Co mi tam wybory“ — mówią. — „Ja ta nie „czerwony“, z wyborów nie żyję. Tyle tych wyborów już było, a człek charuje, jak charował. A coraz to mu ciężej! Szkoda mitręgi frasunku“.

Tak mówią i stronią od wyborów. Unikają wieców; nie chodzą głosować. Wybory — to wstręt dla wielu.

Jedni i drudzy źle czynią.

Bo jedni są: głupi — a drudzy: leniwi.

Dziś ciemny chyba wierzy jeszcze obiecankom wyborczym. Porządek społeczny i sprawy państwowe nie dadzą się zmienić odrazu. Marna gmina o kilkudziesięciu rodzinach lata całe kuleje; porządek i wygody przeprowadzić w niej trudno. A cóż mówić o całem państwie dopiero, gdzie tyle różnego narodu i tyle przeróżnych stanów — a potrzeb rozmaitych bez liku? — A potrzeby

coraz to nowe wyłażą — pomysły zaś coraz lepsze się nastręczają. I każdą ustawę trzeba ciągle zmieniać. Co było dobre wczoraj, może już być złe jutro. I tak bez końca.

Zupełnie dobrze — nie będzie na świecie nigdy.

Darmo się tem ludziska łudzą. Darmo w wyborach godziny zbawienia czekają.

Ale nie wolno ci też wyborów sobie lekceważyć.

Czemu?

Bo to rzecz ważna. Z wyborów bowiem wychodzą posłowie. Posłowie zaś stanowią dla narodu prawa. A jacy będą posłowie, takie będą i prawa.

Gdy przyjdą złe prawa, wrogie kościołowi św., wrogie polskiej narodowości, podające naród w ucisk i wyzysk — czyja będzie w tem wina?

Nietylko tych, co je ustanowią, ale wina całego narodu, który posłów obierał!

Gdy ty bracie dziś na posła głosujesz, to sobie tym głosem swoim przyszłe prawo stanowisz!

Jeśli zaś to sobie lekceważysz, od wyborów stronisz i ułatwiasz tem socyalistom, żydostwu i innym wrogim żywiołom dostęp do poselstwa, ściągasz na siebie ciężką odpowiedzialność wobec Boga, narodu i siebie samego!

Gdy przyjdą wybory nie wolno ci na zapiecku siedzieć. Żadna praca, żadne zajęcie tu cię nie usprawiedliwi.

Bo wybory to twój święty obowiązek obywatelski!

Z głosem na posła masz iść bronić Wiary św. i Ojczyzny i przyszłej doli swojej!

Wybory to święta wojna, na którą Cię woła Bóg i Ojczyzna.

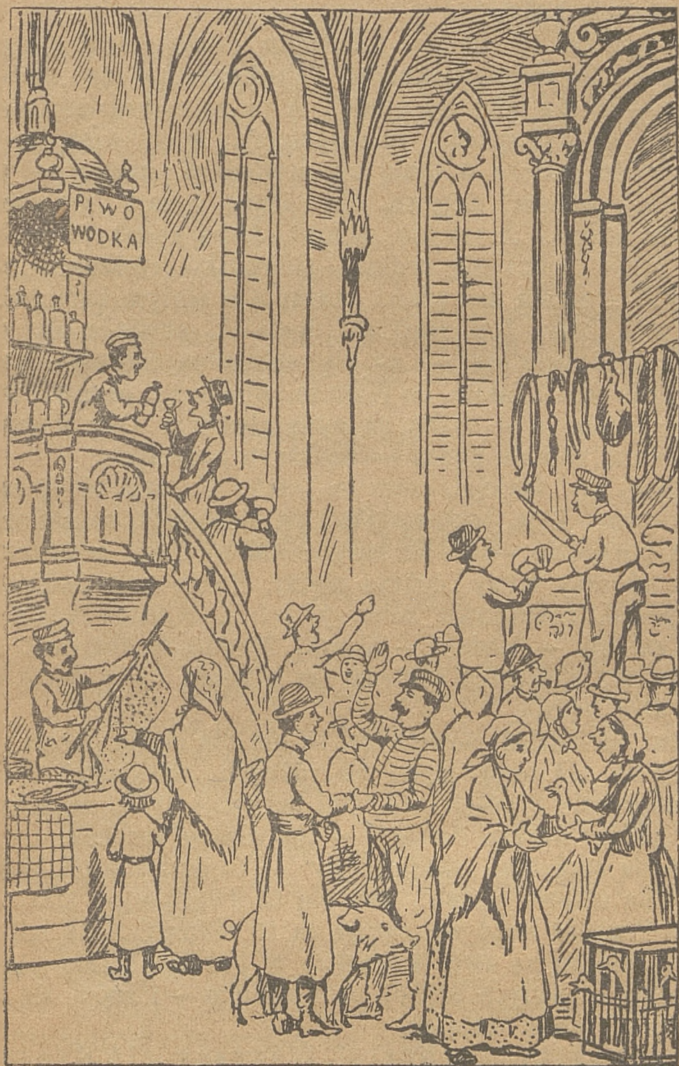
A bój ten rozstrzygać będą posłowie, którzy z wybory wyjdą.

Bacz więc na to, by ci bojownicy byli rzetelnymi rzecznikami twojej świętej sprawy!

A kto takim bojownikiem będzie, coby sumiennie stawał w obronie Boga, Ojczyzny i twej krwawej doli?

Pewnie nie żyd ani socyalista, co z wściekłą pianą na plugawej gębie wrzeszczy: „Precz z Kościołem“ Ojczyzny się wypiera — a jak pasożyt, na ciemnym, zbałamuconym narodzie się pasie. Na cuchnącej bezeceństwem szmacie swojej, którą „Naprzodem“ nazwali piszą wielkiemi literami: Towarzysze, pa-

miętajcie o funduszu wyborczym!" Wykpigrosze! Od biednego robotnika, ciemnoty, co im jeszcze wierzy, krwawy, osta-



Oto, co chcą socyaliści zrobić z naszych kościołów.

tni grosz wyłygają! Na co? — Na to, by światlejszych — dla siebie kupować; (patrz dalej p. n. „Hyjena") by ostrożniejszych na ich podłość — na wybory rozpajać — i upitym swe głosy narzu-

cać; by tym wdowim, robotniczym groszem wypłacać sobie sowicie „agitacyjne dyety“. — Taki rzetelnym rzecznikiem twej świętej sprawy nie będzie!

Szczęśliwyś ty chłopie, robotniku dzisiaj. Aniś nie przypuszczał może, ilu masz opiekunów. Takeś narzekał, że „za biednym człekiem — to się nikt nie ujmie“. A tu patrz bracie! Dziś jeden za drugim do wsi spada, jak płanetnicy. A co jeden, to lepszy. Nikt ci może jeszcze w życiu nie powiedział „panie“ — a on ci się kłania i „panem“ nazywa, choć może boso i „bez krawatki“ przed nim stoisz. A jak się, chłopy, kupą zbierzecie — to taki w pas przed wami się zegnie i słodziutko rzeknie: „panowie wyborcy!“ — potem zaś prawi „kazanie o złotym baranie“. Obiecuje ci pola, lasy, łąki, wszelaki dostatek, powiada, że „codzień kiełbiasę jeść będziesz“ — aż cię oskomina bierze. Każdy zaś kończy jednako: „Takim, co Wam to, wielmożni panowie wyborcy zrobi — jestem ja — tylko na mnie głosujcie. Gdy waszym posłem zostanę ustanie nędza — będziecie panami!“

Spytaj się „takiego, czem on jest?“ Bo najczęściej tacy bywają „niczem“, Żyją, jak owo ptactwo niebieskie, co ani orze, ani sieje. A poselstwo — to dla niego: chleb. Przy poselstwie zaś zarobek uboczny łatwy i dobrze płatny. Różne pośrednictwa, uzyskania posad, paduchowe koncesye i t. d. a za to ludzie dobrze płacą. Taki zaś — biedak — bierze! Trudno, trzeba mu!

Ale taki ciebie też sprzeda. On o siebie, nie o ciebie, biedny chłopie dbać będzie.

Taki darmozjad, powsinoga, to nie dla ciebie poseł!

Roi się też teraz gęsto od różnych „pyskaczy“. Tacy nie myślą naprawdę o poselstwie. Oni porywają tylko ze sobą garść ludzi i „psują“ innym. Na co? — Na własny zarobek.

Będzie psuł taki „rządowcowi“ — to dostanie od Rządu odczepne „na utarcie pyska“, jak się to dwornie po starościńsku nazywa. Przecież Rząd wyznaczył na to miliony. A te miliony ty narodzie spłacisz ze swej krwawicy w podatku! Taki „pyskacz“ przepłacony u jednych pójdzie psuć drugim — i znów się obłowi. Na wyborach zrobi majątek.

B i e d n y ś t y n a r o d z i e! W s z y s c y c i ę d r ę c z ą, n a t w e j b i e d z i e s i ę p a s ą!

Broń więc sam siebie!

Szukaj sobie opiekunów w ludziach prawych i rzetelnych.

Twój poseł powinien być:

1) wiernym, praktykującym katolikiem
2) prawym polakiem
3) człowiekiem z poświęceniem — wykazującym się już pewną zasługą dla dobrej sprawy.

Każdy inny nie opiekunem, ale zdrajcą ci będzie.

Narzekał ktoś; „niema u nas ludzi“. Tak jest, niestety. Dobrych ludzi nam brak. To też pamiętaj przy wyborach: z dwojga złego, wybieraj mniejsze zło!

Nieraz dla obrony poselskiego mandatu przed żydem lub socyalistą — trza stanąć i przy takim, co ci nie jest zupełnie dobrym. Bo jak jeden czcigodny profesor mówił: „Gdyby mi przyszło głosować na dyabła lub socyalistę, tobym dyabła wybierał; w nim bowiem mam otwartego wroga, a w socyaliście ukrytego zdrajcę! Broń więc każdej placówki jako wierny syn Kościoła i Ojczyzny.



Boże Ciało.

Dzień wstał jasny — a taki słoneczny, że aż patrzeć trudno. Wszędy pełno słonecznego blasku.

Szary, ubogi kościółek wiejski umaił się zielenią i patrzy radośnie na tę Bożą czeladkę, co się tak garnie ku niemu z ufnością. Otworzył szeroko podwoje i jak kokosz kurczęta tak pisklęta swoje zgarnia, a zgarnia.

Dziewczęta mają ołtarze pod figurami; mają, a mają gałęźmi, zielenią, kwiatami i ku słońcu się śmieją; radeby zaśpiewać, jako zwyczajnie przy robocie; ale nie można.

Na procesyi dobędą głosu i zaśpiewają hej, tak z serca do serca, z duszy do duszy...

...Zahuczały dzwony, zagrzmiały organy!

Pleban staruszek podniósł monstrancyę. Lud się zakołysał, jak łan pod wichurą i legł pokotem przed Panem nad pany.

Z prostaczych serc wydarł się śpiew:

„U drzwi Twoich stoję Panie!...“

I brzmi pieśń, bije pod strop kościółka, aż się ściany trzęsą od wielkiego huku, a w piersiach drżą serca od wielkiego nabożeństwa....

Przeze drzwi na ścieżaj wywarte wypłynęła barwna rzeka ludzkiego mrowia. Procesya ruszyła drożyną przez pola ku pierwszemu ołtarzowi.

Chylą się głowy ludzkie jako i te łany zielone pod żywym wiatru podmuchem. A z serc ludzkich idzie wiew święty, gorący:

„Czekam na Twe zmiłowanie“.

Biją dzwony, a z ludzkich piersi leci pieśń pod niebo lazurowe. A słoneczko świeci i blask swój zlewa na złotą monstrancyę, że zda się drugie słońce pod baldachimem świeci.

Chylą kornie główki kwiaty, a bujne zielenią drzewa zginają w pokłonie konary,

bo „w Hostyi jest Bóg żywy,
choć ukryty, lecz prawdziwy“.

I leci pieśń święta z serc ludzkich, a głosy ludzkie tarzają się w prochu; a serca ludzkie kochają, a ludziska wierzą a wierzą mocno, że w tej postaci chleba — to Bóg

„święty, mocny, nieśmiertelny,
w majestacie Swym niezmierny“...

W swej zaś wierze ten lud prostaczy gotowy na wszystko! Jakby co do czego — to jest!

Niechby tak trzeba było na męki, jak to o „Żywotach Świętych“ czytali — nic to — choćby zaraz!

A jakby kto tej świętości nad świętościami śmiał bluźnić lub urągać — to kosa do garści i na wojnę za swą wiarę gotów!

Idzie Pan Jezus przez wieś i pola, a ludziska śpiewają, a śpiewają... Przyszli do ołtarza...

...Naraz cisza, jak makiem zasiał; pada naród na kolana, głowy sią chylą ku ziemi.

Stary pleban podniósł monstrancyę i błogosławi ludziom i niwom i lasom i słońcu i ptaszkom, co w tej ciszy Bogu na chwałę świergocą i wszelakiemu stworzeniu.

I jakaś niewypowiedziana błogość przejęła ludzi i pola i wszystko stworzenie..

* * *

Na Rynku stanęły cechy. Każdy z braci dzierży białą świecę w ręku. Tak, jako ojcowie stary obyczaj zachowują. Cechowe cho-

rągwie czerwienią do słońca się mienią. — Przed cechami ciągną się długim sznurem bractwa kościelne z feretronami.

A cały plac w środku zaległo mrowie ludzkie.

Zagrzmiały dzwony we wszystkich świątyniach prastarego grodu. A „Zygmunt" na wawelskiej wieży, co dawne, dawne lata pamięta — prym wiedzie.

Ruszyła procesya z powagą i majestatem. Pod baldachimem ze złotogłowiu idzie Biskup w koronacyjnej kapie królewskiej z mieniącą się od dyamentów w słońcu monstrancyi.

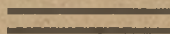
Zebrane tłumy patrzą ciekawie, jak na widowisko. Dzwony tylko słychać. Pieśń jakaś pośród bractw się odzywa — ale wnet słabnie, plącze się — ucicha.

Stanęli u ołtarza. Umilkły dzwony. Biskup wzniósł monstrancyę — i błogosławić począł. Poklękały bractwa i cechy — a tłum stał i patrzał.

Huknął strzał. Wojsko salwę dało. Zerwało się trwożnie zagnieżdżone w starych murach ptactwo i skrzeczeć poczęło..

A pośród tłumu tu i ówdzie zachichotały pannice i wyblakli młodzieńcy...

Te tłumy nie widziały pól zielonych, ani sinych lasów. W ciasnych murach, dziele ręki ludzkiej wyrosły. I zaschły ich serca dla Boga.



HYENA.

W mrocznej, cuchnącej izbie szynkowni rojno i gwarno. — Wybory! — Będzie raj na ziemi. Skończy się nędza, odleci troska, ziemia mlekiem i miodem opłynie — po wyborach!

Wszak każdy tak obiecuje; niech go jeno posłem obiorą.

Ale którego wybrać?

„Lisowicz to jest poseł!" — woła obrzękły na twarzy podmajstrzy Pionek.

„To jest łebek, panie dzieju" — podrywa mu kumoter Dratewka — „słyszeliście, jak wczoraj pyskował? Nikomu nie darował! Taki to zrobi dla narodu dużo!"

„A bo nasz, czerwony, a nie żaden burżuj, ani klerykał" — popiera kumotra piegowaty Gzymsik.

„Złodziej!“ — huknął nagle ochrypły bas z boku.

Zawirowało w zgromadzeniu. Wszyscy zwrócili się ku brzuchatemu Gadackiemu, miejskiemu rajcy.

„Złodziej!“ — huknął jeszcze dobitniej Gadacki i pociągnął łyk piwa.

„Kto złodziej?!“ — zaskrzeczał piegowaty Gzymsik, przyskakując do Gadackiego.

„Wasz poseł, Lisowicz złodziej. Mam go w kieszeni“—rzecze Gadacki, klepiąc się po otłuszczonej pole kapoty.

„Panie Gadacki, to sądem pachnie. My pana skarżymy. Słyszeliście towarzysze, co powiedział?“

„Ja się nie boję! skarżcie, ale przód słuchajcie!“

Sięgnął do kieszeni i dobył gazety. Otworzył i począł czytać:

„Socyalistyczne złodziejstwa. W robotniczej kasie chorych urzęduje od kilku lat niejaki Lisowicz. Onegdaj przy zestawianiu rachunku zauważono pewne niedokładności. Przy bliższem badaniu wykryto rzecz haniebną. Okazało się, iż Lisowicz kradł od czterech lat...

Pomruk przeszedł po zgromadzeniu.

„A to mydlarz! — Szubrawiec! — Szczwany lis! — Hańba mu!“

„A chwaliliście go!“ — rzecze z tryumfem Gadacki.

„Niech go dżuma ściśnie!“ — zapiszczał piegaty Gzymsik.

„Panie Gadacki, proszę pana na chwilę“ — ozwał się nagle nowo przybyły gość — „proszę pana bardzo, na ubocze, ale już, mój panie!“ — nalegał niecierpliwie.

Przerwał Gadacki i potulał się ku natarczywemu gościowi

„Jestem Popiołek, mąż zaufania socyalno-demokratycznego. komitetu wyborczego. Panie Gadacki — milcz pan! Nie psuj nam!“

„Muszę!“

„Za kim?“

„Za Stańczykiem!“

„Zapłacili?“

„Nawet dobrze!“

„Dużo? —

— Trzysta! —

— Damy trzysta! —

— Mało!

— Czterysta!

— Nie obstoi. —



Lud płaci, a socyalista zjada i przepija.

— „Pięćset! więcej nie można. Ale pan za nami!“

— Zgoda! —

Podali sobie ręce. Do tłustej łapy Gadackiego przylgnął pięćsetreńskowy papier. Wsunął go nieznacznie do kieszeni — i znów podszedł ku towarzyszom. Wrzało między nimi — a pomsty na na Lisowicza miotane — ziały jak czeluść wulkanu.



Socyaliści zabierają włościańskie grunta i cały dobytek.

— „No co?“ — pyta Gadacki.

„Dawać go tu! Niech się jeno jeszcze pokaże przed nami. Strzępa z niego nie zostanie!“

„Hola towarzysze! — starał się przekrzyczeć wzburzonych Gadacki — hola, słuchajcie! Oto macie przykład podłoty. Ta szmata — tu wskazał gazete — rzuciła na dobrego towarzysza oszczerstwo. Lisowicz jest czysty. To fałsz ta gadka o nim. Wymyślono ją, by go w wyborach utrącić. Ale wy nie wierzcie bredniom! Niech żyje nasz poseł Lisowicz. Górą czerwoni!“

Osłupiały tłum huknął „górą!“ Ten i ów jeszcze się nie pomiarkował w sprawie, ale wył ochrypłym gardzielem: »Niech żyje Lisowicz!“

Gadacki spojrzał z tryumfem na Popiołka — i wyszedł z knajpy. — Poszedł dalej na żer. *Władysław z Minogi.*



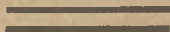
Śluby i wychowanie dzieci u socyalistów.

Pchła i Rabin.

(A. Mickiewicz).

Pewien rabin w talmudzie kąpiąc się po uszy,
Cierpiał, że go pchła gryzła; w końcu się obruszy;
Dalej czatować — złowił. Srodze przyciśnięta,
Kręcąc się, wyciągając główkę i nóżęta:
„Daruj, rabi, mądremu nie godzi się gniewać;
O święty synu Lewi, nie chciej krwi przelewać!“

Krew za krew! — wrzasnął rabin — Beliala płodzie!
Filistynko, na cudzej wytuczona szkodzie!
Mrówka ma śpichlerze, pracowite roje
Znoszą miody i woski, a trucień napoje;
Ty się jedna śród ludzi z liwarem uwijasz,
Pijaczko, tem szkodliwsza, że cudze wypijasz!“
Zakończył, i gdy więźnia bez litości dłabi,
Pchła, konając, pisnęła: — „A czem żyje rabi?“ —



Zielska i chwasty.

(Majowa zaduma).

Był maj. Szedłem samotny ścieżyną przez pole. Zielona woń zbóż słała się przede mną szeroko wzorzystym kobiercem. Powietrze tchnęło wonią majowego kwiatu.

Usiadłem na miedzy. Łagodny dech wiatru biegł falą po strzępionej zieleni pszenicy; padł potem na płowe żyto i mknął w dal, aż się oparł na ostrym zrębie strzelających wieżycami murów Krakowa. I tak płynął falą za falą po polu — a zboże się słało pod jego tchnieniem — jakby w pokłonie czcigodnemu miastu, jego wieżycom, krzyżom, świątyniom.

Za falą po zbożu popłynęła i dusza moja. Wpatrzony w łan pszeniczny — w zielonej jego topieli pogrążyłem myśli. A myśli szły z tego, com widział.

Tu i ówdzie wśród łanu kępami i luzem rozbujał się oset i wystrzelał kąkol. Te zielska i chwasty znać było na łanie tam nawet, hen w dali. Bo kiedy łan cały pod tchnieniem wiatru w pokłonie krzyżom się słaniał — one sterczały dumne, nieugięte, a drżąc w podmuchu zdały się kolczatemi łodygami temu miastu, Wawelowi z zamkiem królewskim i tym świątyniom z krzyżami urągać i zuchwale wygrażać.

A było tego zielska i chwastu dużo. Biegnąc wzrokiem za falą wiatru dostrzegałem go coraz więcej.

Chwast i zielsko bujnie i szybko się pleni. Trza je rwać, póki czas, bo wnet zboże zadusi i samo się w polu rozeprze. — A potem co?

Głód, nędza i śmierć.

I tak mi się zdało, że na tym łanie widzę całe życie nasze w jego społecznych przejawach. To zielsko kolczate, co tak butnie sterczy a pasożytem żyje i świętościom zda się urągać i grozić, to nasze chwasty społeczne, socyalizm zbratany ze żydowstwem. Bo i on u nas bujnie się pleni; pasożytem na chłopie i robotniku żyje; świętościom naszym urąga i wszechwładnie wszędzie się rozpiera. Niech jeszcze trochę w siły wzbierze, niech się socyalizm dorwie steru rządu — co będzie?

Idzie teraz ich siew: Wybory. Niech jeno socyaliści posłami będą, niech na pszeniczysku oset weźmie górę — co się stanie?

I będzie pustka, głusza i martwota ducha, gdy zielska i chwasty społeczną niwę przerosną.

Zielska i chwasty rwać trzeba — póki czas! Nachodził wieczór. Zachodzące słońce oblało czerwienią pola. Wiatr powiewał coraz silniej — coraz burzliwsza fala przewalała się łanami zbóż — a zielska i chwasty w krwawej czerwieni słońca coraz groźniej wygrażały się krzyżom, świątyniom i Wawelowi.

...Odszedłem pełen smutnej zadumy.

Władysław z Minogi.



Niebieskie kije.

Maciej Ratajczak był mistrzem w zawodzie pijackim. Nie odbywał on w tej mierze osobnych nauk, a jednak na całą okolicę należała mu się palma pierwszeństwa w artystycznym sposobie przewracania kieliszków i zalewania sobie czupryny.

W takim zaś stanie wyższego spirytusowego nastroju gdy wracał do domu, miał ten brzydki zwyczaj, że stawał przed każdą Bożą męką i każdą figurą i straszliwie bluźniercze wygadywał rzeczy.

Po trzeźwemu nic o tem nie wiedział, a na wyrzuty, które mu o to czyniono, zaręczał, że to niepodobieństwem, bo gdzieby on — taki dobry katolik — a broń Boże!

Razu pewnego wieczorem wracał do domu znowu porządnie podcięty, a poznać to było można z tego, że mu wierzbami wysadzona droga nie była dosyć szeroka. Przewidywał to już Bartek Szymczak, młody jeszcze parobczak, ale olbrzymie chłopisko i niezmierny siłacz, który przechodząc koło gościńca, usłyszał, jak Maciek w śpiewaniu dawał koncert.

Nic nikomu nie mówiąc, wziął potężnego kija i ukrył się za krzakiem przy Bożej męce. Niezadługo wali Maciek z dobrym rezonem i — rzeczywiście — stawa przed krzyżem i zaczyna wyśpiewywać brzydką piosenkę. Ale też w tej samej chwili wyskakuje Bartek niepostrzeżony i łabas Maćka z tyłu w kark, wcisnął mu kapelusz na oczy i łupu cupu! po grzbiecie, co się zmieści, że aż Maciek wytrzeźwiał.

— Panie Boże nie bij! Już więcej tego nie zrobię! — woła Maciek, a Bartek powiada zmienionym głosem:

— Przestaniesz ty pić? — i łoi dalej.

— Przestanę, przestanę! Wszystko co chcesz, Panie Boże, zrobię, tylko już nie bij!

Mimo to jeszcze mu Bartek wsypał kilkanaście oblewanych. Jęcząc z bólu i strachu przywlókł się do domu, ale przez całą noc ani oka zmrużyć nie mógł. W tej bezsennej nocy stałe powziął postanowienie i odprzysiągł się od wódki nazajutrz przed księdzem Proboszczem, któremu wszystko powiedział.

— Jegomość, — powiedział — chociażbym miał umrzeć, nie tknę już tej piekielnej opary, bo nikt nie wie, jak to bolą takie niebieskie kije!

I dotrzymał słowa. — A Bartek do nikogo nie pisnął słowa, tylko ks. Proboszczowi wyjaśnił w tajemnicy, jak się Maćkowi te „niebieskie kije“ dostały.

Pieśń tułacza.

Nie mam tyle własnej ziemi
Co ta wierzba nade drogą...
Ani tyle, cobym stąpił
Jedną tylko moją nogą...

Nie mam tyle, gdziebym jednym
Własnym kwiatkiem mógł się pieścić...
Ani tyle, by brat tułacz,
Wiatr mógł trawką zaszeleścić...

Nie mam tyle, gdziebym biedną,
Moją siwą głowę skłonił,
Ani tyle, gdziebym jednę
Łzę boleści mej uronił...

Nie mam tyle, gdzieby strzelił
Jeden promień słońca jasny...
Aż gdy umrę, to mieć będę
Jeden sążeń ziemi własnej...

Jantek z Bugaja.

W imię prawdy!

Majowe wydanie naszego pisma skonfiskowano! (Wskutek tego też nastąpiło opóźnienie). C. k. Prokuratorya, stojąca na straży publicznej moralności i bezpieczeństwa, skreśliła wstępny artykuł p. n. „Wybierajmy na posłów socyalistów". **Wedle jej orzeczenia, „autor usiłuje pobudzić do kroków nieprzyjaznych przeciwko partyi socyajistycznej".**

Prokuratorya, organ c. k. Rządu — staje w obronie socyalistów. Broni żywiołu — najbardziej państwu i społecznemu porządkowi wrogiego! Dziw nad dziwy! — Trzy jednak rzeczy są bez granic — a w tajnikach swych niezbadane i nieobliczone a to: miłosierdzie Boskie, głupota ludzka i polityka. Tu gra rolę polityka. A tak się dzieje:

— Są wybory. Socyalizm „bierze wszędzie w łeb". Czerwonych posłów w Radzie państwa będzie już ponoś niewielu! Więc socyalistów Rząd się dziś nie boi. Ale inne widmo go straszy: Koło polskie. Że zaś u nas w kraju, wszczął się przed wyborami bardzo ożywiony ruch narodowy, więc Rząd, chcąc uszczuplić zastęp narodowych posłów i osłabić potęgę Koła polskiego w Radzie pań-

stwa — staje dziś w obronie socyalistów. Przeprowadzeniem bodaj kilku ułaskawionych już dla siebie, przedstawicieli czerwonej międzynarodówki, chce przydusić naszą narodową żywotność w państwie.

Potępiony ten artykuł — przedrukowała cuchnąca kałem wszelakiego bezeceństwa, żydowsko-socyalistyczna szmata, co się „Naprzodem“ zowie. W 110 Nr. tej plugawej ścierki, jest artykuł p. n. „Jak nas zwalczają!“ A tak się zaczyna:

„Niema tak ohydnego i głupiego oszczerstwa (!?) któregoby klerykali nie użyli przeciw socyalistom w walce wyborczej“...

Tu przytoczono „ważniejsze ustępy“ (wedle ich wyboru) naszego artykułu. — Tak zaś kończy garbatonosy nawoziciel moralnego kału na tę szmatę:

„Owi „chrześcijanie“ (a więc jawnie się przyznaje, kto on jest), żadnej innej broni przeciw socyalistom nie posiadają, jak tylko bezwstydne kłamstwo i oszczerstwo“.

Tyle tylko „potrzebował“ powiedzieć. Więcej nie mógł. — O biedaku! — „Kaś ta wlozł?“ — Chyba dziedziczne w twem sparciałem pokoleniu „egipskie zapalenie oczu“ — ślepia ci wyżarło, żeś się nie opatrzył, co robisz, gdyś to na swą ścierkę nakładał.

Toć ten nasz artykuł to pokłosie z plugawej twej szmaty wybrane. To twoje poronione płody! Tyś temi „hasłami“ całe lata bezczelnie szczekał. Przerzuć swoje brudne ścierki (tylko nos zatkaj), a wszystko, co dziś kłamstwem zowiesz, jako swoją uwielbioną dotąd prawdę tam znajdziesz! Dziś się tego wypierasz! Bo naród przejrzał — wyznał się na twej faryzajskiej robocie i ze wstrętem od ciebie się odwraca!

A tu wybory idą! Mandaciki i poselskie dyetki nęcą. Dla złotego zaś cielca twoi przodkowie u Synaju — wiary się wyparli. „Jaka mać, taka nać“. Zasada u nich zawsze wedle popłatności się formuje.

C. k. Prokuratorya skonfiskowała jednak i w „Naprzodzie“ ten artykuł. A szkoda wielka! Niechby czerwona, ciemna brać przypatrzyła się była swej „prawdzie“ we właściwem świetle. Możeby niejeden przejrzał! *Włast.*

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: Władysław Danko.
Drukarnia „Głosu Narodu“ pod zarządem J. R. Dobrzańskiego w Krakowie.

ŚW. WOJCIECH

W OBRONIE PRAWDY

Redakcya i Administracya:
Kraków, ul. Św. Tomasza L. 35.



Cena numeru pojedynczego
4 halerze 2 (centy).

WYBORY.

„Wybory! Wybory!“ — Wszędzie dziś słyszysz to hasło.

Dziwni są ludzie.

Jedni żyją tylko tą myślą: „wybory“. O tem tylko prawią Oto się wiecznie spierają. O „wybory“ nożami się dźgają (we Wieliczce n. p.) „Wybory“ to dla nich kres zabiegów życia. Przez „wybory“ wedle nich wszystko się odmieni. „Będzie raj na ziemi“ — niech jeno wybory przejdą.

Inni znów — obojętni.

„Co mi tam wybory“ — mówią. — „Ja ta nie „czerwony“, z wyborów nie żyję. Tyle tych wyborów już było, a człek charuje, jak charował. A coraz to mu ciężej! Szkoda mitręgi frasunku“.

Tak mówią i stronią od wyborów. Unikają wieców: nie chodzą głosować. Wybory — to wstręt dla wielu.

Jedni i drudzy źle czynią.

Bo jedni są: głupi — a drudzy: leniwi.

Dziś ciemny chyba wierzy jeszcze obiecankom wyborczym. Porządek społeczny i sprawy państwowe nie dadzą się zmienić odrazu. Marna gmina o kilkudziesięciu rodzinach lata całe kuleje; porządek i wygody przeprowadzić w niej trudno. A cóż mówić o całem państwie dopiero, gdzie tyle różnego narodu i tyle przeróżnych stanów — a potrzeb rozmaitych bez liku? — A potrzeby

coraz to nowe wyłażą — pomysły zaś coraz lepsze się nastręczają. I każdą ustawę trzeba ciągle zmieniać. Co było dobre wczoraj, może już być złe jutro. I tak bez końca.

Zupełnie dobrze—nie będzie na świecie nigdy.

Darmo się tem ludziska łudzą. Darmo w wyborach godziny zbawienia czekają.

Ale nie wolno ci też wyborów sobie lekceważyć.

Czemu?

Bo to rzecz ważna. Z wyborów bowiem wychodzą posłowie. Posłowie zaś stanowią dla narodu prawa. A jacy będą posłowie, takie będą i prawa.

Gdy przyjdą złe prawa, wrogie kościołowi św., wrogie polskiej narodowości, podające naród w ucisk i wyzysk — czyja będzie w tem wina?

Nietylko tych, co je ustanowią, ale wina całego narodu, który posłów obierał!

Gdy ty bracie dziś na posła głosujesz, to sobie tym głosem swoim przyszłe prawo stanowisz!

Jeśli zaś to sobie lekceważysz, od wyborów stronisz i ułatwiasz tem socyalistom, żydostwu i innym wrogim żywiołom dostęp do poselstwa, ściągasz na siebie ciężką odpowiedzialność wobec Boga, narodu i siebie samego!

Gdy przyjdą wybory nie wolno ci na zapiecku siedzieć. Żadna praca, żadne zajęcie tu cię nie usprawiedliwi.

Bo wybory to twój święty obowiązek obywatelski!

Z głosem na posła masz iść bronić Wiary św. i Ojczyzny i przyszłej doli swojej!

Wybory to święta wojna, na którą Cię woła Bóg i Ojczyzna.

A bój ten rozstrzygać będą posłowie, którzy z wybory wyjdą.

Bacz więc na to, by ci bojownicy byli rzetelnymi rzecznikami twojej świętej sprawy!

A kto takim bojownikiem będzie, coby sumiennie stawał w obronie Boga, Ojczyzny i twej krwawej doli?

Pewnie nie żyd ani socyalista, co z wściekłą pianą na plugawej gębie wrzeszczy: „Precz z Kościołem“ Ojczyzny się wypiera — a jak pasożyt, na ciemnym, zbałamuconym narodzie się pasie. Na cuchnącej bezeceństwem szmacie swojej, którą „Naprzodem“ nazwali piszą wielkiemi literami: Towarzysze, pa-

niętajcie o funduszu wyborczym!“ Wykpigrosze! Od biednego robotnika, ciemnoty, co im jeszcze wierzy, krwawy, osta-



tni grosz wyłygają! Na co? — Na to, by światlejszych — dla siebie kupować; (patrz dalej p. n. „Hyjena“) by ostrożniejszych na ich podłość — na wybory rozpajać — i upitym swe głosy narzu-

cać; by tym wdowim, robotniczym groszem wypłacać sobie sowicie „agitacyjne dyety“. — Taki rzetelnym rzecznikiem twej świętej sprawy nie będzie!

Szczęśliwyś ty chłopie, robotniku dzisiaj. Aniś nie przypuszczał może, ilu masz opiekunów. Takeś narzekał, że „za biednym człekiem — to się nikt nie ujmie“. A tu patrz bracie! Dziś jeden za drugim do wsi spada, jak płanetnicy. A co jeden, to lepszy. Nikt ci może jeszcze w życiu nie powiedział „panie“ — a on ci się kłania i „panem“ nazywa, choć może boso i „bez krawatki“ przed nim stoisz. A jak się, chłopy, kupą zbierzecie — to taki w pas przed wami się zegnie i słodziutko rzeknie: „panowie wyborcy!“ — potem zaś prawi „kazanie o złotym baranie“. Obiecuje ci pola, lasy, łąki, wszelaki dostatek, powiada, że „codzień kiełbiasę jeść będziesz“ — aż cię oskomina bierze. Każdy zaś kończy jednako: „Takim, co Wam to, wielmożni panowie wyborcy zrobi — jestem ja — tylko na mnie głosujcie. Gdy waszym posłem zostanę ustanie nędza — będziecie panami!“

Spytaj się „takiego, czem on jest?“ Bo najczęściej tacy bywają „niczem“, Żyją, jak owo ptactwo niebieskie, co ani orze, ani sieje. A poselstwo — to dla niego: chleb. Przy poselstwie zaś zarobek uboczny łatwy i dobrze płatny. Różne pośrednictwa, uzyskania posad, paduchowe koncesye i t. d. a za to ludzie dobrze płacą. Taki zaś — biedak — bierze! Trudno, trzeba mu!

Ale taki ciebie też sprzeda. On o siebie, nie o ciebie, biedny chłopie dbać będzie.

Taki darmozjad, powsinoga, to nie dla ciebie poseł!

Roi się też teraz gęsto od różnych „pyskaczy“. Tacy nie myślą naprawdę o poselstwie. Oni porywają tylko ze sobą garść ludzi i „psują“ innym. Na co? — Na własny zarobek.

Będzie psuł taki „rządowcowi“ — to dostanie od Rządu odczepne „na utarcie pyska“, jak się to dwornie po starościńsku nazywa. Przecież Rząd wyznaczył na to miliony. A te miliony ty narodzie spłacisz ze swej krwawicy w podatku! Taki „pyskacz“ przepłacony u jednych pójdzie psuć drugim — i znów się obłowi. Na wyborach zrobi majątek.

B i e d n y ś t y n a r o d z i e! W s z y s c y c i ę d r ę c z ą, n a t w e j b i e d z i e s i ę p a s ą!

Broń więc sam siebie!

Szukaj sobie opiekunów w ludziach prawych i rzetelnych.

Twój poseł powinien być:

1) wiernym, praktykującym katolikiem
2) prawym polakiem
3) człowiekiem z poświęceniem — wykazującym się już pewną zasługą dla dobrej sprawy.

Każdy inny nie opiekunem, ale zdrajcą ci będzie.

Narzekał ktoś; „niema u nas ludzi". Tak jest, niestety. Dobrych ludzi nam brak. To też pamiętaj przy wyborach: z dwojga złego, wybieraj mniejsze zło!

Nieraz dla obrony poselskiego mandatu przed żydem lub socyalistą — trza stanąć i przy takim, co ci nie jest zupełnie dobrym. Bo jak jeden czcigodny profesor mówił: „Gdyby mi przyszło głosować na dyabła lub socyalistę, tobym dyabła wybierał; w nim bowiem mam otwartego wroga, a w socyaliście ukrytego zdrajcę!

Broń więc każdej placówki jako wierny syn Kościoła i Ojczyzny.



Boże Ciało.

Dzień wstał jasny — a taki słoneczny, że aż patrzeć trudno. Wszędy pełno słonecznego blasku.

Szary, ubogi kościółek wiejski umaił się zielenią i patrzy radośnie na tę Bożą czeladkę, co się tak garnie ku niemu z ufnością. Otworzył szeroko podwoje i jak kokosz kurczęta tak pisklęta swoje zgarnia, a zgarnia.

Dziewczęta mają ołtarze pod figurami; mają, a mają gałęźmi, zielenią, kwiatami i ku słońcu się śmieją; radeby zaśpiewać, jako zwyczajnie przy robocie; ale nie można.

Na procesyi dobędą głosu i zaśpiewają hej, tak z serca do serca, z duszy do duszy...

...Zahuczały dzwony, zagrzmiały organy!

Pleban staruszek podniósł monstrancyę. Lud się zakołysał, jak łan pod wichurą i legł pokotem przed Panem nad pany.

Z prostaczych serc wydarł się śpiew:

„U drzwi Twoich stoję Panie!..."

I brzmi pieśń, bije pod strop kościółka, aż się ściany trzęsą od wielkiego huku, a w piersiach drżą serca od wielkiego nabożeństwa....

Przeze drzwi na ścieżaj wywarte wypłynęła barwna rzeka ludzkiego mrowia. Procesya ruszyła drożyną przez pola ku pierwszemu ołtarzowi.

Chylą się głowy ludzkie jako i te łany zielone pod żywym wiatru podmuchem. A z serc ludzkich idzie wiew święty, gorący:

„Czekam na Twe zmiłowanie“.

Biją dzwony, a z ludzkich piersi leci pieśń pod niebo lazurowe. A słoneczko świeci i blask swój zlewa na złotą monstrancyę, że zda się drugie słońce pod baldachimem świeci.

Chylą kornie główki kwiaty, a bujne zielenią drzewa zginają w pokłonie konary,

bo „w Hostyi jest Bóg żywy,
choć ukryty, lecz prawdziwy“.

I leci pieśń święta z serc ludzkich, a głosy ludzkie tarzają się w prochu; a serca ludzkie kochają, a ludziska wierzą, a wierzą mocno, że w tej postaci chleba — to Bóg

„święty, mocny, nieśmiertelny,
w majestacie Swym niezmierny“..

W swej zaś wierze ten lud prostaczy gotowy na wszystko! Jakby co do czego — to jest!

Niechby tak trzeba było na męki, jak to o „Żywotach Świętych“ czytali — nic to — choćby zaraz!

A jakby kto tej świętości nad świętościami śmiał bluźnić lub urągać — to kosa do garści i na wojnę za swą wiarę gotów!

Idzie Pan Jezus przez wieś i pola, a ludziska śpiewają, a śpiewają... Przyszli do ołtarza...

...Naraz cisza, jak makiem zasiał; pada naród na kolana, głowy sią chylą ku ziemi.

Stary pleban podniósł monstrancyę i błogosławi ludziom i niwom i lasom i słońcu i ptaszkom, co w tej ciszy Bogu na chwałę świergocą i wszelakiemu stworzeniu.

I jakaś niewypowiedziana błogość przejęła ludzi i pola i wszystko stworzenie..

* *
*

Na Rynku stanęły cechy. Każdy z braci dzierży białą świecę w ręku. Tak, jako ojcowie stary obyczaj zachowują. Cechowe cho-

rągwie czerwienią do słońca się mienią. — Przed cechami ciągną się długim sznurem bractwa kościelne z feretronami.

A cały plac w środku zaległo mrowie ludzkie.

Zagrzmiały dzwony we wszystkich świątyniach prastarego grodu. A „Zygmunt“ na wawelskiej wieży, co dawne, dawne lata pamięta — prym wiedzie.

Ruszyła procesya z powagą i majestatem. Pod baldachimem ze złotogłowiu idzie Biskup w koronacyjnej kapie królewskiej z mieniącą się od dyamentów w słońcu monstrancyi.

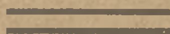
Zebrane tłumy patrzą ciekawie, jak na widowisko. Dzwony tylko słychać. Pieśń jakaś pośród bractw się odzywa — ale wnet słabnie, plącze się — ucicha.

Stanęli u ołtarza. Umilkły dzwony. Biskup wzniósł monstrancyę — i błogosławić począł. Poklękały bractwa i cechy — a tłum stał i patrzał.

Huknął strzał. Wojsko salwę dało. Zerwało się trwożnie zagnieżdżone w starych murach ptactwo i skrzeczeć poczęło...

A pośród tłumu tu i ówdzie zachichotały pannice i wyblakli młodzieńcy...

Te tłumy nie widziały pól zielonych, ani sinych lasów. W ciasnych murach, dziele ręki ludzkiej wyrosły. I zaschły ich serca dla Boga.



HYENA.

W mrocznej, cuchnącej izbie szynkowni rojno i gwarno. — Wybory! — Będzie raj na ziemi. Skończy się nędza, odleci troska, ziemia mlekiem i miodem opłynie — po wyborach!

Wszak każdy tak obiecuje; niech go jeno posłem obiorą.

Ale którego wybrać?

„Lisowicz to jest poseł!“ — woła obrzękły na twarzy podmajstrzy Pionek.

„To jest łebek, panie dzieju“ — podrywa mu kumoter Dratewka — „słyszeliście, jak wczoraj pyskował? Nikomu nie darował! Taki to zrobi dla narodu dużo!“

„A bo nasz, czerwony, a nie żaden burżuj, ani klerykał“ — popiera kumotra piegowaty Gzymsik.

„Złodziej!“ — huknął nagle ochrypły bas z boku.

Zawirowało w zgromadzeniu. Wszyscy zwrócili się ku brzuchatemu Gadackiemu, miejskiemu rajcy.

„Złodziej!“ — huknął jeszcze dobitniej Gadacki i pociągnął łyk piwa.

„Kto złodziej?!“ — zaskrzeczał piegowaty Gzymsik, przyskakując do Gadackiego.

„Wasz poseł, Lisowicz złodziej. Mam go w kieszeni“—rzecze Gadacki, klepiąc się po otłuszczonej pole kapoty.

„Panie Gadacki, to sądem pachnie. My pana skarżymy. Słyszeliście towarzysze, co powiedział?“

„Ja się nie boję! skarżcie, ale przód słuchajcie!“

Sięgnął do kieszeni i dobył gazety. Otworzył i począł czytać:

„Socyalistyczne złodziejstwa. W robotniczej kasie chorych urzęduje od kilku lat niejaki Lisowicz. Onegdaj przy zestawianiu rachunku zauważono pewne niedokładności. Przy bliższem badaniu wykryto rzecz haniebną. Okazało się, iż Lisowicz kradł od czterech lat...

Pomruk przeszedł po zgromadzeniu.

„A to mydlarz! — Szubrawiec! — Szczwany lis! — Hańba mu!“

„A chwaliliście go!“ — rzecze z tryumfem Gadacki.

„Niech go dżuma ściśnie!“ — zapiszczał piegaty Gzymsik.

„Panie Gadacki, proszę pana na chwilę“ — ozwał się nagle nowo przybyły gość — „proszę pana bardzo, na ubocze, ale już, mój panie!“ — nalegał niecierpliwie.

Przerwał Gadacki i potulał się ku natarczywemu gościowi

„Jestem Popiołek, mąż zaufania socyalno-demokratycznego komitetu wyborczego. Panie Gadacki — milcz pan! Nie psuj nam!“

„Muszę!“

„Za kim?“

„Za Stańczykiem!“

„Zapłacili?“

„Nawet dobrze!“

„Dużo? —

— Trzysta! —

— Damy trzysta! —

— Mało!

— Czterysta!

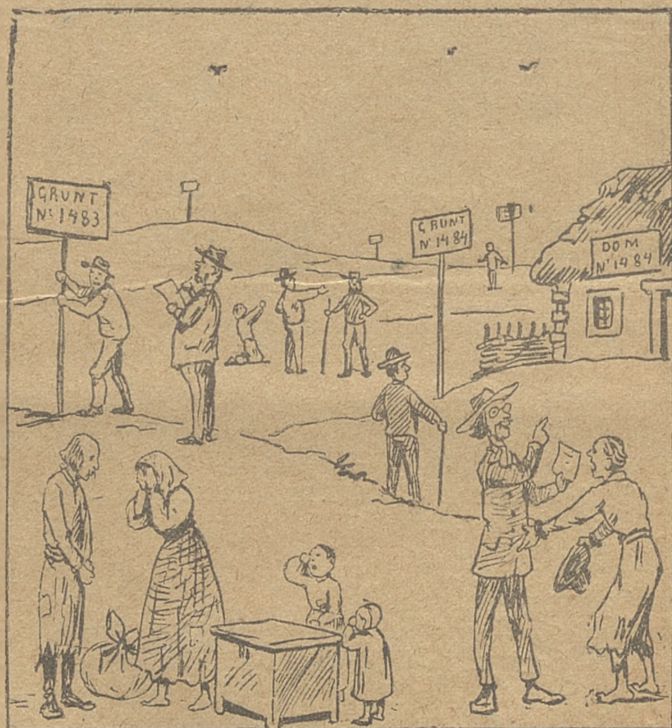
— Nie obstoi. —


CZERWONY
SZTANDAR.
1000
500
1000

— „Pięćset! więcej nie można. Ale pan za nami!“

— Zgoda! —

Podali sobie ręce. Do tłustej łapy Gadackiego przylgnął pięćsetreńskowy papier. Wsunął go nieznacznie do kieszeni — i znów podszedł ku towarzyszom. Wrzało między nimi — a pomsty na na Lisowicza miotane — ziały jak czeluść wulkanu.



— „No co?“ — pyta Gadacki.

„Dawać go tu! Niech się jeno jeszcze pokaże przed nami. Strzępa z niego nie zostanie!“

„Hola towarzysze! — starał się przekrzyczeć wzburzonych Gadacki — hola, słuchajcie! Oto macie przykład podłoty. Ta szmata — tu wskazał gazete — rzuciła na dobrego towarzysza oszczerstwo. Lisowicz jest czysty. To fałsz ta gadka o nim. Wymyślono ją, by go w wyborach utrącić. Ale wy nie wierzcie bredniom! Niech żyje nasz poseł Lisowicz. Górą czerwoni!“

Osłupiały tłum huknął „górą!“ Ten i ów jeszcze się nie pomiarkował w sprawie, ale wył ochrypłym gardzielem: »Niech żyje Lisowicz!“

Gadacki spojrzał z tryumfem na Popiołka — i wyszedł z knajpy. — Poszedł dalej na żer. *Władysław z Minogi.*

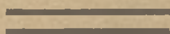


Pchła i Rabin.

(A. Mickiewicz).

Pewien rabin w talmudzie kąpiąc się po uszy,
Cierpiał, że go pchła gryzła; w końcu się obruszy:
Dalej czatować — złowił. Srodze przyciśnięta,
Kręcąc się, wyciągając główkę i nóżęta:
„Daruj, rabi, mądremu nie godzi się gniewać;
O święty synu Lewi, nie chciej krwi przelewać!“

Krew za krew! — wrzasnął rabin — Beliala płodzie!
Filistynko, na cudzej wytuczona szkodzie!
Mrówka ma śpichlerze, pracowite roje
Znoszą miody i woski, a trucień napoje;
Ty się jedna śród ludzi z liwarem uwijasz,
Pijaczko, tem szkodliwsza, że cudze wypijasz!“
Zakończył, i gdy więźnia bez litości dłabi,
Pchła, konając, pisnęła: — „A czem żyje rabi?“ —



Zielska i chwasty.

(Majowa zaduma).

Był maj. Szedłem samotny ścieżyną przez pole. Zielona woń zbóż słała się przede mną szeroko wzorzystym kobiercem. Powietrze tchnęło wonią majowego kwiatu.

Usiadłem na miedzy. Łagodny dech wiatru biegł falą po strzępionej zieleni pszenicy; padł potem na płowe żyto i mknął w dal, aż się oparł na ostrym zrębie strzelających wieżycami murów Krakowa. I tak płynął falą za falą po polu — a zboże się słało pod jego tchnieniem — jakby w pokłonie czcigodnemu miastu, jego wieżycom, krzyżom, świątyniom.

Za falą po zbożu popłynęła i dusza moja. Wpatrzony w łan pszeniczny — w zielonej jego topieli pogrążyłem myśli. A myśli szły z tego, com widział.

Tu i ówdzie wśród łanu kępami i luzem rozbujał się oset i wystrzelał kąkol. Te zielska i chwasty znać było na łanie tam nawet, hen w dali. Bo kiedy łan cały pod tchnieniem wiatru w pokłonie krzyżom się słaniał — one sterczały dumne, nieugięte, a drżąc w podmuchu zdały się kolczatemi łodygami temu miastu, Wawelowi z zamkiem królewskim i tym świątyniom z krzyżami urągać i zuchwale wygrażać.

A było tego zielska i chwastu dużo. Biegnąc wzrokiem za falą wiatru dostrzegałem go coraz więcej.

Chwast i zielsko bujnie i szybko się pleni. Trza je rwać, póki czas, bo wnet zboże zadusi i samo się w polu rozeprze. — A potem co?

Głód, nędza i śmierć.

I tak mi się zdało, że na tym łanie widzę całe życie nasze w jego społecznych przejawach. To zielsko kolczate, co tak butnie sterczy a pasożytem żyje i świętościom zda się urągać i grozić, to nasze chwasty społeczne, socyalizm zbratany ze żydowstwem. Bo i on u nas bujnie się pleni; pasożytem na chłopie i robotniku żyje; świętościom naszym urąga i wszechwładnie wszędzie się rozpiera. Niech jeszcze trochę w siły wzbierze, niech się socyalizm dorwie steru rządu — co będzie?

Idzie teraz ich siew: Wybory. Niech jeno socyaliści posłami będą, niech na pszeniczysku oset weźmie górę — co się stanie?

U socyalistów niema Boga. Strącą więc z kościołów krzyże, a zatkną swoje czerwone sztandary. Zburzą ołtarze, a postawią szynkwasy. Napędzą księży, a osadzą po kościołach żydów-szynkarzy. I ze świątyń Bożych uczynią karczmy, domy hulatyk, jaskinie bezeceństw.

Socyaliści poznoszą święta i nabożeństwa. Nie będzie więc ani niedzieli, ani sumy w kościele. Nie będzie św. wilii i opłatka na stole. Nie będzie Rezurekcyi, ani święconego; nie będzie procesyi na Boże Ciało — będzie tylko jedno święto w roku na 1 maja. Pójdą wtedy wszyscy za czerwoną szmatą i będą wyli: „Krew naszą długo leją kąty“. A każdy będzie pijany, jak bydlę. Tak zrobili socyaliści we Francyi, tak zrobią i u nas; niech tylko oni posłami będą.

U nich „niema narodowości“. Niema ojczyzny, niema ojczystego języka, niema narodowych pamiątek. Nie będzie więc Polski, nie będzie polskiego języka, ani polskiej historyi. Będzie jedno „stadło ludzkie“.

Gdy socyaliści pochwycą w swe ręce rządy, wtedy na królewskim zamku osiędą. Wyprowadzą się z końskiej ujeżdżalni, gdzie dotąd swój zbór mieli — a pójdą na Wawel. Rozbiją groby królów naszych, a prochy ich z wiatrem rozwieją. Zerwią z ołtarzy tureckie buńczuki, a przypną na ich drzewcach swe krwawe szmaty. Złupią królewskie korony i berła, zedrą złotem i perłami tkane ornaty, pokruszą drogie kielichy i monstrancye, darowizny królów i przetopią je na złote pieniędze, które pójdą do żydowskich kieszeni. A tam, skąd przemawiali do królów i narodu nasi posłannicy Boży, wstąpią ich plugawi mówcy i bluźnić będą Bogu i narodowi.

Oni „nowy w świecie zaprowadzą ład“. Wydrą ci chłopie tę

ziemię rodzoną. Bo będzie »wspólna własność«. I ty, dziś kmieć wolny, pójdziesz znowu odrabiać pańszczyznę, tak, jak ją twój dziad i pradziad odrabiał. Wydzielą ci za to miarkę strawy, jak koniowi obroku.

Gdy socyaliści posłami będą i rządy odzierżą — nie będzie dla Cię bracie ani chrztu św. ani ślubu, ani pogrzebu. Inaczej wtedy będzie. Dziecię zaniesiesz do urzędu. I przyjdzie pejsaty urzędnik — bo wtedy same żydy urzędnikami będą — na dziecku numer kwaczem napisze — i dziecię już nie twoje. Pójdzie na państwowy wychowek — już go nie obaczysz i nie poznasz nigdy, że to twoja kość z kości i krew z krwi.

Ślub będzie w gminie. Plugawy żydowin zapisze numer twój i numer narzeczonej i na tem koniec. (Nazwiska nie będzie tylko numera). A uprzykrzy ci się jedna żona, to sobie weźmierz drugą — a ta porzucona zmarnieje sobie pod płotem, bo taki będzie nowy porządek.

Zemrze ci ojciec, czy matka — to ni trumny, ni dzwonów, ni księdza, ni pogrzebu, ni grobu nawet nie będzie. Przyjdą, zabiorą ciało, spalą je na popiół i popiół zesypią do wspólnego dołu. Ani zapłakać nie będzie nad czem; bo prochów rodzonego ojca ni matki nie rozeznasz...

Zmieni się oblicze ziemi.

I będzie pustka, głusza i martwota ducha, gdy zielska i chwasty społeczną niwę przerosną.

Zielska i chwasty rwać trzeba — póki czas! Nachodził wieczór. Zachodzące słońce oblało czerwienią pola. Wiatr powiewał coraz silniej — coraz burzliwsza fala przewalała się łanami zbóż — a zielska i chwasty w krwawej czerwieni słońca coraz groźniej wygrażały się krzyżom, świątyniom i Wawelowi.

...Odszedłem pełen smutnej zadumy.

Władysław z Minogi.



Pieśń tułacza.

Nie mam tyle własnej ziemi
Co ta wierzba nade drogą..
Ani tyle, cobym stąpił
Jedną tylko moją nogą..

Nie mam tyle, gdziebym jednym
Własnym kwiatkiem mógł się pieścić...
Ani tyle, by brat tułacz,
Wiatr mógł trawką zaszeleścić...

Nie mam tyle, gdziebym biedną,
Moją siwą głowę skłonił,
Ani tyle, gdziebym jednę
Łzę boleści mej uronił...

Nie mam tyle, gdzieby strzelił
Jeden promień słońca jasny...
Aż gdy umrę, to mieć będę
Jeden sążeń ziemi własnej...

Jantek z Bugaja.

W imię prawdy!

Majowe wydanie naszego pisma skonfiskowano! (Wskutek tego też nastąpiło opóźnienie). C. k. Prokuratorya, stojąca na straży publicznej moralności i bezpieczeństwa, skreśliła wstępny artykuł p. n. „Wybierajmy na posłów socyalistów". **Wedle jej orzeczenia, „autor usiłuje pobudzić do kroków nieprzyjaznych przeciwko partyi socyajistycznej".**

Prokuratorya, organ c. k. Rządu — staje w obronie socyalistów. Broni żywiołu — najbardziej państwu i społecznemu porządkowi wrogiego! Dziw nad dziwy! — Trzy jednak rzeczy są bez granic — a w tajnikach swych niezbadane i nieobliczone a to: miłosierdzie Boskie, głupota ludzka i polityka. Tu gra rolę polityka. A tak się dzieje:

— Są wybory. Socyalizm „bierze wszędzie w łeb". Czerwonych posłów w Radzie państwa będzie już ponoś niewielu! Więc socyalistów Rząd się dziś nie boi. Ale inne widmo go straszy: Koło polskie. Że zaś u nas w kraju, wszczął się przed wyborami bardzo ożywiony ruch narodowy, więc Rząd, chcąc uszczuplić zastęp narodowych posłów i osłabić potęgę Koła polskiego w Radzie pań-

stwa — staje dziś w obronie socyalistów. Przeprowadzeniem bodaj kilku ułaskawionych już dla siebie, przedstawicieli czerwonej międzynarodówki, chce przydusić naszą narodową żywotność w państwie.

Potępiony ten artykuł — przedrukowała cuchnąca kałem wszelakiego bezeceństwa, żydowsko-socyalistyczna szmata, co się „Naprzodem“ zowie. W 110 Nr. tej plugawej ścierki, jest artykuł p. n. „Jak nas zwalczają!“ A tak się zaczyna:

„Niema tak ohydnego i głupiego oszczerstwa (!?) któregoby klerykali nie użyli przeciw socyalistom w walce wyborczej“...

Tu przytoczono „ważniejsze ustępy“ (wedle ich wyboru) naszego artykułu. — Tak zaś kończy garbatonosy nawoziciel moralnego kału na tę szmatę:

„O wi „chrześcijanie“ (a więc jawnie się przyznaje, kto on jest), żadnej innej broni przeciw socyalistom nie posiadają, jak tylko bezwstydne kłamstwo i oszczerstwo“.

Tyle tylko „potrzebował“ powiedzieć. Więcej nie mógł. — O biedaku! — „Kaś ta wlozł?“ — Chyba dziedziczne w twem sparciałem pokoleniu „egipskie zapalenie oczu“ — ślepia ci wyżarło, żeś się nie opatrzył, co robisz, gdyś to na swą ścierkę nakładał.

Toć ten nasz artykuł to pokłosie z plugawej twej szmaty wybrane. To twoje poronione płody! Tyś temi „hasłami“ całe lata bezczelnie szczekał. Przerzuć swoje brudne ścierki (tylko nos zatkaj), a wszystko, co dziś kłamstwem zowiesz, jako swoją uwielbioną dotąd prawdę tam znajdziesz! Dziś się tego wypierasz! Bo naród przejrzał — wyznał się na twej faryzajskiej robocie i ze wstrętem od ciebie się odwraca!

A tu wybory idą! Mandaciki i poselskie dyetki nęcą. Dla złotego zaś cielca twoi przodkowie u Synaju — wiary się wyparli. „Jaka mać, taka nać“. Zasada u nich zawsze wedle popłatności się formuje.

C. k. Prokuratorya skonfiskowała jednak i w „Naprzodzie“ ten artykuł. A szkoda wielka! Niechby czerwona, ciemna brać przypatrzyła się była swej „prawdzie“ we właściwem świetle. Możeby niejeden przejrzał! *Włast.*

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: Władysław Danko.
Drukarnia „Głosu Narodu“ pod zarządem J. R. Dobrzańskiego w Krakowie.

Nr. 6. Kraków, czerwiec 1911. Rok V.

ŚW. WOJCIECH

W OBRONIE PRAWDY

Redakcya i Administracya: Kraków, ul. Św. Tomasza L. 35.



Cena numeru pojedynczego 4 halerze 2 (centy).

WYBORY.

„Wybory! Wybory!“ — Wszędzie dziś słyszysz to hasło.

Dziwni są ludzie.

Jedni żyją tylko tą myślą: „wybory“. O tem tylko prawią Oto się wiecznie spierają. O „wybory“ nożami się dźgają (we Wieliczce n. p.) „Wybory“ to dla nich kres zabiegów życia. Przez „wybory“ wedle nich wszystko się odmieni. „Będzie raj na ziemi“ — niech jeno wybory przejdą.

Inni znów — obojętni.

„Co mi tam wybory“ — mówią. — „Ja ta nie „czerwony“, z wyborów nie żyję. Tyle tych wyborów już było, a człek charuje, jak charował. A coraz to mu ciężej! Szkoda mitręgi frasunku“.

Tak mówią i stronią od wyborów. Unikają wieców; nie chodzą głosować. Wybory — to wstręt dla wielu.

Jedni i drudzy źle czynią.

Bo jedni są: głupi — a drudzy: leniwi.

Dziś ciemny chyba wierzy jeszcze obiecankom wyborczym. Porządek społeczny i sprawy państwowe nie dadzą się zmienić odrazu. Marna gmina o kilkudziesięciu rodzinach lata całe kuleje; porządek i wygody przeprowadzić w niej trudno. A cóż mówić o całem państwie dopiero, gdzie tyle różnego narodu i tyle przeróżnych stanów — a potrzeb rozmaitych bez liku? — A potrzeby

coraz to nowe wyłażą — pomysły zaś coraz lepsze się nastręczają. I każdą ustawę trzeba ciągle zmieniać. Co było dobre wczoraj, może już być złe jutro. I tak bez końca.

Zupełnie dobrze—nie będzie na świecie nigdy.

Darmo się tem ludziska łudzą. Darmo w wyborach godziny zbawienia czekają.

Ale nie wolno ci też wyborów sobie lekceważyć.

Czemu?

Bo to rzecz ważna. Z wyborów bowiem wychodzą posłowie. Posłowie zaś stanowią dla narodu prawa. A jacy będą posłowie, takie będą i prawa.

Gdy przyjdą złe prawa, wrogie kościołowi św., wrogie polskiej narodowości, podające naród w ucisk i wyzysk — czyja będzie w tem wina?

Nietylko tych, co je ustanowią, ale wina całego narodu, który posłów obierał!

Gdy ty bracie dziś na posła głosujesz, to sobie tym głosem swoim przyszłe prawo stanowisz!

Jeśli zaś to sobie lekceważysz, od wyborów stronisz i ułatwiasz tem socyalistom, żydostwu i innym wrogim żywiołom dostęp do poselstwa, ściągasz na siebie ciężką odpowiedzialność wobec Boga, narodu i siebie samego!

Gdy przyjdą wybory nie wolno ci na zapiecku siedzieć. Żadna praca, żadne zajęcie tu cię nie usprawiedliwi.

Bo wybory to twój święty obowiązek obywatelski!

Z głosem na posła masz iść bronić Wiary św. i Ojczyzny i przyszłej doli swojej!

Wybory to święta wojna, na którą Cię woła Bóg i Ojczyzna.

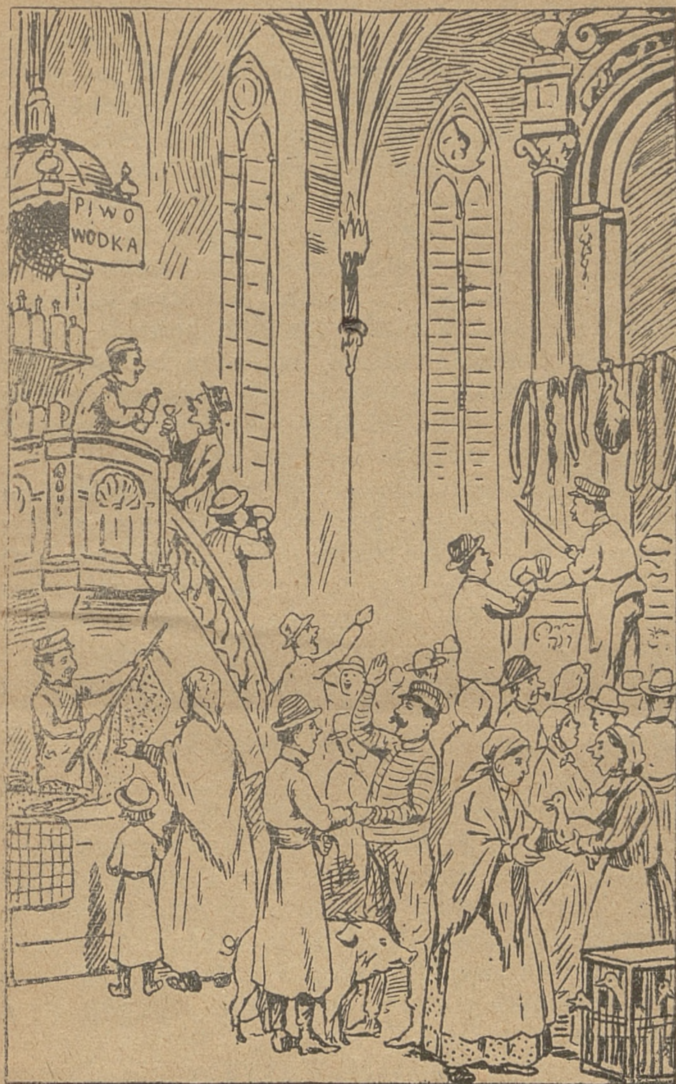
A bój ten rozstrzygać będą posłowie, którzy z wybory wyjdą.

Bacz więc na to, by ci bojownicy byli rzetelnymi rzecznikami twojej świętej sprawy!

A kto takim bojownikiem będzie, coby sumiennie stawał w obronie Boga, Ojczyzny i twej krwawej doli?

Pewnie nie żyd ani socyalista, co z wściekłą pianą na plugawej gębie wrzeszczy: „Precz z Kościołem“ Ojczyzny się wypiera — a jak pasożyt, na ciemnym, zbałamuconym narodzie się pasie. Na cuchnącej bezeceństwem szmacie swojej, którą „Naprzodem“ nazwali piszą wielkiemi literami: Towarzysze, pa-

miętajcie o funduszu wyborczym!" Wykpigrosze! Od biednego robótnika, ciemnoty, co im jeszcze wierzy, krwawy, osta-



tni grosz wyłygają! Na co? — Na to, by światlejszych — dla siebie kupować; (patrz dalej p. n. „Hyjena") by ostrożniejszych na ich podłość — na wybory rozpajać — i upitym swe głosy narzu-

cać; by tym wdowim, robotniczym groszem wypłacać sobie sowicie „agitacyjne dyety“. — Taki rzetelnym rzecznikiem twej świętej sprawy nie będzie!

Szczęśliwyś ty chłopie, robotniku dzisiaj. Aniś nie przypuszczał może, ilu masz opiekunów. Takeś narzekał, że „za biednym człekiem — to się nikt nie ujmie“. A tu patrz bracie! Dziś jeden za drugim do wsi spada, jak płanetnicy. A co jeden, to lepszy. Nikt ci może jeszcze w życiu nie powiedział „panie“ — a on ci się kłania i „panem“ nazywa, choć może boso i „bez krawatki“ przed nim stoisz. A jak się, chłopy, kupą zbierzecie — to taki w pas przed wami się zegnie i słodziutko rzeknie: „panowie wyborcy!“ — potem zaś prawi „kazanie o złotym baranie“. Obiecuje ci pola, lasy, łąki, wszelaki dostatek, powiada, że „codzień kiełbiasę jeść będziesz“ — aż cię oskomina bierze. Każdy zaś kończy jednako: „Takim, co Wam to, wielmożni panowie wyborcy zrobi — jestem ja — tylko na mnie głosujcie. Gdy waszym posłem zostanę ustanie nędza — będziecie panami!“

Spytaj się „takiego, czem on jest?“ Bo najczęściej tacy bywają „niczem“, Żyją, jak owo ptactwo niebieskie, co ani orze, ani sieje. A poselstwo — to dla niego: chleb. Przy poselstwie zaś zarobek uboczny łatwy i dobrze płatny. Różne pośrednictwa, uzyskania posad, paduchowe koncesye i t. d. a za to ludzie dobrze płacą. Taki zaś — biedak — bierze! Trudno, trzeba mu!

Ale taki ciebie też sprzeda. On o siebie, nie o ciebie, biedny chłopie dbać będzie.

Taki darmozjad, powsinoga, to nie dla ciebie poseł!

Roi się też teraz gęsto od różnych „pyskaczy“. Tacy nie myślą naprawdę o poselstwie. Oni porywają tylko ze sobą garść ludzi i „psują“ innym. Na co? — Na własny zarobek.

Będzie psuł taki „rządowcowi“ — to dostanie od Rządu odczepne „na utarcie pyska“, jak się to dwornie po starościńsku nazywa. Przecież Rząd wyznaczył na to miliony. A te miliony ty narodzie spłacisz ze swej krwawicy w podatku! Taki „pyskacz“ przepłacony u jednych pójdzie psuć drugim — i znów się obłowi. Na wyborach zrobi majątek.

Biednyś ty narodzie! Wszyscy cię dręczą, na twej biedzie się pasą!

Broń więc sam siebie!

Szukaj sobie opiekunów w ludziach prawych i rzetelnych.

Twój poseł powinien być:

1) wiernym, praktykującym katolikiem
2) prawym polakiem
3) człowiekiem z poświęceniem — wykazującym się już pewną zasługą dla dobrej sprawy.

Każdy inny nie opiekunem, ale zdrajcą ci będzie.

Narzekał ktoś; „niema u nas ludzi“. Tak jest, niestety. Dobrych ludzi nam brak. To też pamiętaj przy wyborach: z dwojga złego, wybieraj mniejsze zło!

Nieraz dla obrony poselskiego mandatu przed żydem lub socyalistą — trza stanąć i przy takim, co ci nie jest zupełnie dobrym. Bo jak jeden czcigodny profesor mówił: „Gdyby mi przyszło głosować na dyabła lub socyalistę, tobym dyabła wybierał; w nim bowiem mam otwartego wroga, a w socyaliście ukrytego zdrajcę!

Broń więc każdej placówki jako wierny syn Kościoła i Ojczyzny.



Boże Ciało.

Dzień wstał jasny — a taki słoneczny, że aż patrzeć trudno. Wszędy pełno słonecznego blasku.

Szary, ubogi kościółek wiejski umaił się zielenią i patrzy radośnie na tę Bożą czeladkę, co się tak garnie ku niemu z ufnością. Otworzył szeroko podwoje i jak kokosz kurczęta tak pisklęta swoje zgarnia, a zgarnia.

Dziewczęta mają ołtarze pod figurami; mają, a mają gałęźmi, zielenią, kwiatami i ku słońcu się śmieją; radeby zaśpiewać, jako zwyczajnie przy robocie; ale nie można.

Na procesyi dobędą głosu i zaśpiewają hej, tak z serca do serca, z duszy do duszy...

...Zahuczały dzwony, zagrzmiały organy!

Pleban staruszek podniósł monstrancyę. Lud się zakołysał, jak łan pod wichurą i legł pokotem przed Panem nad pany.

Z prostaczych serc wydarł się śpiew:

„U drzwi Twoich stoję Panie!...“

I brzmi pieśń, bije pod strop kościółka, aż się ściany trzęsą od wielkiego huku, a w piersiach drżą serca od wielkiego nabożeństwa....

Przeze drzwi na ścieżaj wywarte wypłynęła barwna rzeka ludzkiego mrowia. Procesya ruszyła drożyną przez pola ku pierwszemu ołtarzowi.

Chylą się głowy ludzkie jako i te łany zielone pod żywym wiatru podmuchem. A z serc ludzkich idzie wiew święty, gorący:

„Czekam na Twe zmiłowanie“.

Biją dzwony, a z ludzkich piersi leci pieśń pod niebo lazurowe. A słoneczko świeci i blask swój zlewa na złotą monstrancyę, że zda się drugie słońce pod baldachimem świeci.

Chylą kornie główki kwiaty, a bujne zielenią drzewa zginają w pokłonie konary,

bo „w Hostyi jest Bóg żywy,
choć ukryty, lecz prawdziwy“.

I leci pieśń święta z serc ludzkich, a głosy ludzkie tarzają się w prochu; a serca ludzkie kochają, a ludziska wierzą, a wierzą mocno, że w tej postaci chleba — to Bóg

„święty, mocny, nieśmiertelny,
w majestacie Swym niezmierny“..

W swej zaś wierze ten lud prostaczy gotowy na wszystko! Jakby co do czego — to jest!

Niechby tak trzeba było na męki, jak to o „Żywotach Świętych“ czytali — nic to — choćby zaraz!

A jakby kto tej świętości nad świętościami śmiał bluźnić lub urągać — to kosa do garści i na wojnę za swą wiarę gotów!

Idzie Pan Jezus przez wieś i pola, a ludziska śpiewają, a śpiewają... Przyszli do ołtarza...

...Naraz cisza, jak makiem zasiał; pada naród na kolana, głowy się chylą ku ziemi.

Stary pleban podniósł monstrancyę i błogosławi ludziom i niwom i lasom i słońcu i ptaszkom, co w tej ciszy Bogu na chwałę świergocą i wszelakiemu stworzeniu.

I jakaś niewypowiedziana błogość przejęła ludzi i pola i wszystko stworzenie..

* * *

Na Rynku stanęły cechy. Każdy z braci dzierży białą świecę w ręku. Tak, jako ojcowie stary obyczaj zachowują. Cechowe cho-

rągwie czerwienią do słońca się mienią. — Przed cechami ciągną się długim sznurem bractwa kościelne z feretronami.

A cały plac w środku zaległo mrowie ludzkie.

Zagrzmiały dzwony we wszystkich świątyniach prastarego grodu. A „Zygmunt“ na wawelskiej wieży, co dawne, dawne lata pamięta — prym wiedzie.

Ruszyła procesya z powagą i majestatem. Pod baldachimem ze złotogłowiu idzie Biskup w koronacyjnej kapie królewskiej z mieniącą się od dyamentów w słońcu monstrancyi.

Zebrane tłumy patrzą ciekawie, jak na widowisko. Dzwony tylko słychać. Pieśń jakaś pośród bractw się odzywa — ale wnet słabnie, plącze się — ucicha.

Stanęli u ołtarza. Umilkły dzwony. Biskup wzniósł monstrancyę — i błogosławić począł. Poklękały bractwa i cechy — a tłum stał i patrzał.

Huknął strzał. Wojsko salwę dało. Zerwało się trwożnie zagnieżdżone w starych murach ptactwo i skrzeczeć poczęło..

A pośród tłumu tu i ówdzie zachichotały pannice i wyblakli młodzieńcy...

Te tłumy nie widziały pól zielonych, ani sinych lasów. W ciasnych murach, dziele ręki ludzkiej wyrosły. I zaschły ich serca dla Boga.



HYENA.

W mrocznej, cuchnącej izbie szynkowni rojno i gwarno. — Wybory! — Będzie raj na ziemi. Skończy się nędza, odleci troska, ziemia mlekiem i miodem opłynie — po wyborach!

Wszak każdy tak obiecuje; niech go jeno posłem obiorą.

Ale którego wybrać?

„Lisowicz to jest poseł!“ — woła obrzękły na twarzy podmajstrzy Pionek.

„To jest łebek, panie dzieju“ — podrywa mu kumoter Dratewka — „słyszeliście, jak wczoraj pyskował? Nikomu nie darował! Taki to zrobi dla narodu dużo!“

„A bo nasz, czerwony, a nie żaden burżuj, ani klerykał“ — popiera kumotra piegowaty Gzymsik.

„Złodziej!“ — huknął nagle ochrypły bas z boku.

Zawirowało w zgromadzeniu. Wszyscy zwrócili się ku brzuchatemu Gadackiemu, miejskiemu rajcy.

„Złodziej!“ — huknął jeszcze dobitniej Gadacki i pociągnął łyk piwa.

„Kto złodziej?!“ — zaskrzeczał piegowaty Gzymsik, przyskakując do Gadackiego.

„Wasz poseł, Lisowicz złodziej. Mam go w kieszeni“—rzecze Gadacki, klepiąc się po otłuszczonej pole kapoty.

„Panie Gadacki, to sądem pachnie. My pana skarżymy. Słyszeliście towarzysze, co powiedział?“

„Ja się nie boję! skarżcie, ale przód słuchajcie!“

Sięgnął do kieszeni i dobył gazety. Otworzył i począł czytać:

„Socyalistyczne złodziejstwa. W robotniczej kasie chorych urzęduje od kilku lat niejaki Lisowicz. Onegdaj przy zestawianiu rachunku zauważono pewne niedokładności. Przy bliższem badaniu wykryto rzecz haniebną. Okazało się, iż Lisowicz kradł od czterech lat...

Pomruk przeszedł po zgromadzeniu.

„A to mydlarz! — Szubrawiec! — Szczwany lis! — Hańba mu!“

„A chwaliliście go!“ — rzecze z tryumfem Gadacki.

„Niech go dżuma ściśnie!“ — zapiszczał piegaty Gzymsik.

„Panie Gadacki, proszę pana na chwilę“ — ozwał się nagle nowo przybyły gość — „proszę pana bardzo, na ubocze, ale już, mój panie!“ — nalegał niecierpliwie.

Przerwał Gadacki i potulał się ku natarczywemu gościowi

„Jestem Popiołek, mąż zaufania socyalno-demokratycznego. komitetu wyborczego. Panie Gadacki — milcz pan! Nie psuj nam!“

„Muszę!“

„Za kim?“

„Za Stańczykiem!“

„Zapłacili?“

„Nawet dobrze!“

„Dużo? —

— Trzysta! —

— Damy trzysta! —

— Mało!

— Czterysta!

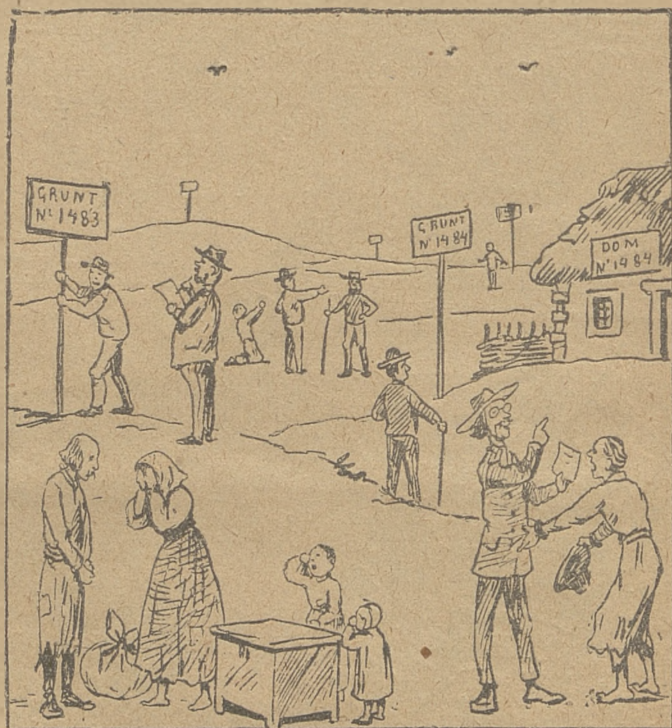
— Nie obstoi. —


CZERWONY SZTANDAR.
1000
500
1000

— „Pięćset! więcej nie można. Ale pan za nami!“

— Zgoda! —

Podali sobie ręce. Do tłustej łapy Gadackiego przylgnął pięćsetreńskowy papier. Wsunął go nieznacznie do kieszeni — i znów podszedł ku towarzyszom. Wrzało między nimi — a pomsty na na Lisowicza miotane — ziały jak czeluść wulkanu.



— „No co?“ — pyta Gadacki.

„Dawać go tu! Niech się jeno jeszcze pokaże przed nami. Strzępa z niego nie zostanie!“

„Hola towarzysze! — starał się przekrzyczeć wzburzonych Gadacki — hola, słuchajcie! Oto macie przykład podłoty. Ta szmata — tu wskazał gazete — rzuciła na dobrego towarzysza oszczerstwo. Lisowicz jest czysty. To fałsz ta gadka o nim. Wymyślono ją, by go w wyborach utrącić. Ale wy nie wierzcie bredniom! Niech żyje nasz poseł Lisowicz. Górą czerwoni!“

Osłupiały tłum huknął „górą!“ Ten i ów jeszcze się nie pomiarkował w sprawie, ale wył ochrypłym gardzielem: »Niech żyje Lisowicz!“

Gadacki spojrzał z tryumfem na Popiołka — i wyszedł z knajpy. — Poszedł dalej na żer. *Władysław z Minogi.*

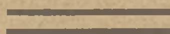


Pchła i Rabin.

(A. Mickiewicz).

Pewien rabin w talmudzie kąpiąc się po uszy,
Cierpiał, że go pchła gryzła; w końcu się obruszy:
Dalej czatować — złowił. Srodze przyciśnięta,
Kręcąc się, wyciągając główkę i nóżęta:
„Daruj, rabi, mądremu nie godzi się gniewać;
O święty synu Lewi, nie chciej krwi przelewać!“

Krew za krew! — wrzasnął rabin — Beliala płodzie!
Filistynko, na cudzej wytuczona szkodzie!
Mrówka ma śpichlerze, pracowite roje
Znoszą miody i woski, a trucień napoje;
Ty się jedna śród ludzi z liwarem uwijasz,
Pijaczko, tem szkodliwsza, że cudze wypijasz!“
Zakończył, i gdy więźnia bez litości dłabi,
Pchła, konając, pisnęła: — „A czem żyje rabi?“ —



Zielska i chwasty.

(Majowa zaduma).

Był maj. Szedłem samotny ścieżyną przez pole. Zielona woń zbóż słała się przede mną szeroko wzorzystym kobiercem. Powietrze tchnęło wonią majowego kwiatu.

Usiadłem na miedzy. Łagodny dech wiatru biegł falą po strzępionej zieleni pszenicy; padł potem na płowe żyto i mknął w dal, aż się oparł na ostrym zrębie strzelających wieżycami murów Krakowa. I tak płynął falą za falą po polu — a zboże się słało pod jego tchnieniem — jakby w pokłonie czcigodnemu miastu, jego wieżycom, krzyżom, świątyniom.

Za falą po zbożu popłynęła i dusza moja. Wpatrzony w łan pszeniczny — w zielonej jego topieli pogrążyłem myśli. A myśli szły z tego, com widział.

Tu i ówdzie wśród łanu kępami i luzem rozbujał się oset i wystrzelał kąkol. Te zielska i chwasty znać było na łanie tam nawet, hen w dali. Bo kiedy łan cały pod tchnieniem wiatru w pokłonie krzyżom się słaniał — one sterczały dumne, nieugięte, a drżąc w podmuchu zdały się kolczatemi łodygami temu miastu, Wawelowi z zamkiem królewskim i tym świątyniom z krzyżami urągać i zuchwale wygrażać.

A było tego zielska i chwastu dużo. Biegnąc wzrokiem za falą wiatru dostrzegałem go coraz więcej.

Chwast i zielsko bujnie i szybko się pleni. Trza je rwać, póki czas, bo wnet zboże zadusi i samo się w polu rozeprze. — A potem co?

Głód, nędza i śmierć.

I tak mi się zdało, że na tym łanie widzę całe życie nasze w jego społecznych przejawach. To zielsko kolczate, co tak butnie sterczy a pasożytem żyje i świętościom zda się urągać i grozić, to nasze chwasty społeczne, socyalizm zbratany ze żydowstwem. Bo i on u nas bujnie się pleni; pasożytem na chłopie i robotniku żyje; świętościom naszym urąga i wszechwładnie wszędzie się rozpiera. Niech jeszcze trochę w siły wzbierze, niech się socyalizm dorwie steru rządu — co będzie?

Idzie teraz ich siew: Wybory. Niech jeno socyaliści posłami będą, niech na pszeniczysku oset weźmie górę — co się stanie?

U socyalistów niema Boga. Strącą więc z kościołów krzyże, a zatkną swoje czerwone sztandary. Zburzą ołtarze, a postawią szynkwasy. Napędzą księży, a osadzą po kościołach żydów-szynkarzy. I ze świątyń Bożych uczynią karczmy, domy hulatyk, jaskinie bezeceństw.

Socyaliści poznoszą święta i nabożeństwa. Nie będzie więc ani niedzieli, ani sumy w kościele. Nie będzie św. wilii i opłatka na stole. Nie będzie Rezurekcyi, ani święconego; nie będzie procesyi na Boże Ciało — będzie tylko jedno święto w roku na 1 maja. Pójdą wtedy wszyscy za czerwoną szmatą i będą wyli: „Krew naszą długo leją katy“. A każdy będzie pijany, jak bydlę. Tak zrobili socyaliści we Francyi, tak zrobią i u nas; niech tylko oni posłami będą.

U nich „niema narodowości“. Niema ojczyzny, niema ojczystego języka, niema narodowych pamiątek. Nie będzie więc Polski, nie będzie polskiego języka, ani polskiej historyi. Będzie jedno „stadło ludzkie“.

Gdy socyaliści pochwycą w swe ręce rządy, wtedy na królewskim zamku osiędą. Wyprowadzą się z końskiej ujeżdżalni, gdzie dotąd swój zbór mieli — a pójdą na Wawel. Rozbiją groby królów naszych, a prochy ich z wiatrem rozwieją. Zerwią z ołtarzy tureckie buńczuki, a przypną na ich drzewcach swe krwawe szmaty. Złupią królewskie korony i berła, zedrą złotem i perłami tkane ornaty, pokruszą drogie kielichy i monstrancye, darowizny królów i przetopią je na złote pieniędze, które pójdą do żydowskich kieszeni. A tam, skąd przemawiali do królów i narodu nasi posłannicy Boży, wstąpią ich plugawi mówcy i bluźnić będą Bogu i narodowi.

Oni „nowy w świecie zaprowadzą ład“. Wydrą ci chłopie tę

ziemię rodzoną. Bo będzie »wspólna własność«. I ty, dziś kmieć wolny, pójdziesz znowu odrabiać pańszczyznę, tak, jak ją twój dziad i pradziad odrabiał. Wydzielą ci za to miarkę strawy, jak koniowi obroku.

Gdy socyaliści posłami będą i rządy odzierżą — nie będzie dla Cię bracie ani chrztu św. ani ślubu, ani pogrzebu. Inaczej wtedy będzie. Dziecię zaniesiesz do urzędu. I przyjdzie pejsaty urzędnik — bo wtedy same żydy urzędnikami będą — na dziecku numer kwaczem napisze — i dziecię już nie twoje. Pójdzie na państwowy wychowek — już go nie obaczysz i nie poznasz nigdy, że to twoja kość z kości i krew z krwi.

Ślub będzie w gminie. Plugawy żydowin zapisze numer twój i numer narzeczonej i na tem koniec. (Nazwiska nie będzie tylko numera). A uprzykrzy ci się jedna żona, to sobie weźmierz drugą — a ta porzucona zmarnieje sobie pod płotem, bo taki będzie nowy porządek.

Zemrze ci ojciec, czy matka — to ni trumny, ni dzwonów, ni księdza, ni pogrzebu, ni grobu nawet nie będzie. Przyjdą, zabiorą ciało, spalą je na popiół i popiół zesypią do wspólnego dołu. Ani zapłakać nie będzie nad czem; bo prochów rodzonego ojca ni matki nie rozeznasz...

Zmieni się oblicze ziemi.

I będzie pustka, głusza i martwota ducha, gdy zielska i chwasty społeczną niwę przerosną.

Zielska i chwasty rwać trzeba — póki czas! Nachodził wieczór. Zachodzące słońce oblało czerwienią pola. Wiatr powiewał coraz silniej — coraz burzliwsza fala przewalała się łanami zbóż — a zielska i chwasty w krwawej czerwieni słońca coraz groźniej wygrażały się krzyżom, świątyniom i Wawelowi.

...Odszedłem pełen smutnej zadumy.

Władysław z Minogi.



Pieśń tułacza.

Nie mam tyle własnej ziemi
Co ta wierzba nade drogą..
Ani tyle, cobym stąpił
Jedną tylko moją nogą..

Nie mam tyle, gdziebym jednym
Własnym kwiatkiem mógł się pieścić...
Ani tyle, by brat tułacz,
Wiatr mógł trawką zaszeleścić...

Nie mam tyle, gdziebym biedną,
Moją siwą głowę skłonił,
Ani tyle, gdziebym jednę
Łzę boleści mej uronił...

Nie mam tyle, gdzieby strzelił
Jeden promień słońca jasny...
Aż gdy umrę, to mieć będę
Jeden sążeń ziemi własnej...

Jantek z Bugaja.

W imię prawdy!

Majowe wydanie naszego pisma skonfiskowano! (Wskutek tego też nastąpiło opóźnienie). C. k. Prokuratorya, stojąca na straży publicznej moralności i bezpieczeństwa, skreśliła wstępny artykuł p. n. „Wybierajmy na posłów socyalistów". **Wedle jej orzeczenia, „autor usiłuje pobudzić do kroków nieprzyjaznych przeciwko partyi socyajistycznej".**

Prokuratorya, organ c. k. Rządu — staje w obronie socyalistów. Broni żywiołu — najbardziej państwu i społecznemu porządkowi wrogiego! Dziw nad dziwy! — Trzy jednak rzeczy są bez granic — a w tajnikach swych niezbadane i nieobliczone a to: miłosierdzie Boskie, głupota ludzka i polityka. Tu gra rolę polityka. A tak się dzieje:

— Są wybory. Socyalizm „bierze wszędzie w łeb". Czerwonych posłów w Radzie państwa będzie już ponoś niewielu! Więc socyalistów Rząd się dziś nie boi. Ale inne widmo go straszy: Koło polskie. Że zaś u nas w kraju, wszczął się przed wyborami bardzo ożywiony ruch narodowy, więc Rząd, chcąc uszczuplić zastęp narodowych posłów i osłabić potęgę. Koła polskiego w Radzie pań-

stwa — staje dziś w obronie socyalistów. Przeprowadzeniem bodaj kilku ułaskawionych już dla siebie, przedstawicieli czerwonej międzynarodówki, chce przydusić naszą narodową żywotność w państwie.

Potępiony ten artykuł — przedrukowała cuchnąca kałem wszelakiego bezeceństwa, żydowsko-socyalistyczna szmata, co się „Naprzodem“ zowie. W 110 Nr. tej plugawej ścierki, jest artykuł p. n. „Jak nas zwalczają!“ A tak się zaczyna:

„Niema tak ohydnego i głupiego oszczerstwa (!?) któregoby klerykali nie użyli przeciw socyalistom w walce wyborczej“...

Tu przytoczono „ważniejsze ustępy“ (wedle ich wyboru) naszego artykułu. — Tak zaś kończy garbatonosy nawoziciel moralnego kału na tę szmatę:

„O wi „chrześcijanie“ (a więc jawnie się przyznaje, kto on jest), żadnej innej broni przeciw socyalistom nie posiadają, jak tylko bezwstydne kłamstwo i oszczerstwo“.

Tyle tylko „potrzebował“ powiedzieć. Więcej nie mógł. — O biedaku! — „Kaś ta wlozł?“ — Chyba dziedziczne w twem sparciałem pokoleniu „egipskie zapalenie oczu“ — ślepia ci wyżarło, żeś się nie opatrzył, co robisz, gdyś to na swą ścierkę nakładał.

Toć ten nasz artykuł to pokłosie z plugawej twej szmaty wybrane. To twoje poronione płody! Tyś temi „hasłami“ całe lata bezczelnie szczekał. Przerzuć swoje brudne ścierki (tylko nos zatkaj), a wszystko, co dziś kłamstwem zowiesz, jako swoją uwielbioną dotąd prawdę tam znajdziesz! Dziś się tego wypierasz! Bo naród przejrzał — wyznał się na twej faryzajskiej robocie i ze wstrętem od ciebie się odwraca!

A tu wybory idą! Mandaciki i poselskie dyetki nęcą. Dla złotego zaś cielca twoi przodkowie u Synaju — wiary się wyparli. „Jaka mać, taka nać“. Zasada u nich zawsze wedle popłatności się formuje.

C. k. Prokuratorya skonfiskowała jednak i w „Naprzodzie“ ten artykuł. A szkoda wielka! Niechby czerwona, ciemna brać przypatrzyła się była swej „prawdzie“ we właściwem świetle. Możeby niejeden przejrzał! *Włast.*

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: Władysław Danko.

Drukarnia „Głosu Narodu“ pod zarządem J. R. Dobrzańskiego w Krakowie.